

TRYLOGIA POMORSKA

KRZYSZTOF A.
ZAJAS

WIATRANKI

MARGINESY



KRZYSZTOF A.
ZAJAS

WIATRAKI

MARGINESY

CZĘŚĆ PIERWSZA

Lucek: otwarcie

*Młyny szły bezszelestnie, zakopane w mroku,
w szumie skrzydeł aniołów, lecących przez światy,
i sypał się piach gwiazdny z daleka, z wysoka,
na zalane czerwienią łopaty.*

Władysław Sebyła, *Młyny (Sonata nieludzka)*

I

To tylko gra

1

Biała kula bilardowa leżała na środku stołu, a zielona szóstka tuż przy narożnym dołku na wprost wlotu. Wystarczyło lekko pyknąć. Takie łatwe ustawienie w jednej linii bywa zdradliwe i można haniebnie spudłować. Ale nie on. Grał tu od lat i znał ten stół jak własną kieszeń. Mógłby wziąć ze stojaka dowolny kij i trafić z zamkniętymi oczami. Stanął w fachowym rozkroku, pochylił się nad wytartym suknem, ujął węższy koniec kija w palce, delikatnie jak papierosa, i przymierzył. Jeśli trafi za wysoko, biała wpadnie razem z zieloną. Jeśli za nisko, może się nie doturlać. Idealnie byłoby trochę poniżej środka. Przymrużył lewe oko: kij – biała – zielona – wlot..

Wyprostował się. Przetarł dłonią spocony kark i łysą czaszkę. Po dwóch piwach grało się super, ale był mokry jak nurek. Czemu akurat po dwóch? Starannie wytarł wilgotną dłoń w dzinsy. Coś mu przeszkadzało.

– Bijże, kurwa, nie?

Odwrócił się do Tasaka i zrobiwszy krok, pochylił się nad niższym o głowę, pękatym i równie łysym jak on facetem.

– Się koncentruję – powiedział z lodowatym spokojem. – Jakbyś nie zauważył.

Zacisnął dłonie w pięści, ale Tasak zaledwie musnął je wzrokiem i natychmiast podniósł obie ręce do góry.

– Dobra, dobra. Koncentruj się.

Wziął wdech, wypuścił głośno powietrze i znowu się przymierzył. Z głośnika leciało *My Słowianie*, jego ulubione, ale teraz urywany rytm wiejskiego techno działał mu na nerwy. Jak dobrze pyknie zieloną, czarna po drugiej stronie będzie na deserek. Bułeczka z maselkiem, a Tasak wyskakuje ze stowy. Trzeba się tylko skupić. Przymknął oko: kij – biała – zielona – wlot...

Dokładnie w momencie, gdy stuknął kulę, pojął, co mu przeszkadza. Na przedłużeniu linii strzału, nad krawędzią, wystawała jasna czupryna chłopaka przy sąsiednim stoliku. Niedbale rozrzucone kręcone włosy układały się w fikuśną kopkę, jak u jakiegoś gitarzysty z tych pedalskich kapel na Vevo. W perspektywnym skrócie znalazła się tuż za narożnym dołkiem i mężczyzna miał wrażenie, że to w nią celuje. Pchnięta krzywo biała bila stuknęła zieloną i odbiła w prawo, a tamta zatańczyła w narożniku i potoczyła się w lewo. Zatrzymała się tuż przy bandzie.

– Aleś się, Dudas, skoncentrował – prychnął Gleba od zastawionego piwami stolika, co reszta skwitowała zgodnym rechotem.

Powinien mu za to dać z piąchy, ale zapanował nad sobą. Rzucał kijem w kąt i łyknął piwa.

– Jedź – warknął do Tasaka, nie patrząc na nikogo. Był tu szefem, nie powinien tracić kontroli nad sobą. To nieprofesjonalne. Upił piwa, przesunął ręką po karku i zerknął w stronę chłopaka z kręconymi włosami. Teraz mógł z profilu dokładnie obejrzyć tego lalusia o gładkiej jak u bobasa buźce, z aniołkowatym loczkiem na czole. Co on, kurwa, pije? Herbatę? Pieprzony pedzio. Gdyby nie ta jego ciotowata fryzurka, wszystko byłoby okej, bila w dziurze i stowa w kieszeni. Sącząc piwo i ścierając pot z szyi, Dudas doszedł do przekonania, że to właśnie przez ten loczek na czole zjechał banalnie proste uderzenie. Pedziów nie powinno się wpuszczać do porządnego męskiego baru.

Ktoś klepnął go w ramię i ujrzał przed nosem wyciągniętą rękę Tasaka.

– Sorki, stary. Wyskakuj ze stowy.

Nawet nie zauważył, jak i kiedy Tasak wbił kule.

– Jeszcze nie. Gramy rewanż.

– Hej, Dudas, my też tu jesteśmy! – krzyknął jeden z chłopaków, a inni gromko go poparli.

Zignorował ich i poszedł do baru po następny żeton. W powrotnej drodze przyjrzał się obcemu. Facet przeglądał książkę kucharską Okrasy i ołówkiem robił notatki na marginesach. Po dziecięcej buźce błąkał się uśmiezek człowieka, który czyta coś niezwykle przyjemnego. Książka kucharska? Pojeb jakiś!

Nachylił się nad blondynem.

– Co tam takiego śmiesznego? Spaghetti się samo ugotowało?

Według niego był to doskonały dowcip, więc zarechotał głośno. To go odprężyło. Nic tak nie poprawia humoru jak wyobrażenie własnej błyskotliwości.

– Połało się sosem bolońskim i poszło na obiad?

Blondyn uniósł głowę znad książki i z uśmiechem odparł:

– Nie jadam spaghetti, zwłaszcza z sosem bolońskim. Makaan włoski szkodzi na włoski.

Od stolika kumpli poszedł urywany śmiech. Dudas zrozumiał, że była to aluzja do jego łysiny. Przesunął po niej dłonią i zawisł na kiju bilardowym jak pielgrzym na kosturze.

– Masz coś do łysych?

– Wiele współczucia.

Chłopak nadal się uśmiechał i kręcił młynka ołówkiem trzymanym między palcami. Na jego pedalskiej twarzy malowało się całkiem dla Dudasa niezrozumiałe zadowolenie. Z otwartej stronicy książki kucharskiej bił w oczy nieprzyzwoicie kolorowy obrazek tortu z bitą śmietaną i kręgiem wiśni. Owoce błyszczwały dokładnie tak samo jak wargi uśmiechniętego lalusia. Dudas walnąłby pięścią w te mięsiste robaczki i soczek wiśniowy trysnąłby prosto na torcik. Wystarczyło lekko pyknąć. Ścisnął kij, aż mu

knykcie zbielały. Nie, nie teraz. Dopiero co został szefem i powinien panować nad sobą.

– Słuchaj, gościu, mógłbyś się nieco przesunąć?

Tamten rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu adresata prośby, wreszcie ze zdziwieniem dotknął palcem własnej piersi.

– Ja? Czy ja komuś przeszkadzam?

Dudas sapnął. Jeszcze trochę i nerwy mu puszczą. Zerknął w stronę kontuaru. Barman przyglądał mu się uważnie i napotkawszy jego spojrzenie, powoli pokręcił głową. Dudas skinął.

– Usiądź po prostu trochę dalej. My tu gramy i... – zająknął się, bo nie wiedział, co właściwie powiedzieć. Że nie lubi Okrasy? Że gościu ma wkurwiającą buzię i hairy niehalo? – ...no wiesz, potrzebny komfort. Najlepiej by było, jak byś usiadł gdzieś w kącie.

Zatoczył ręką po sali, pokazując, ile tu jest miejsca i że każde z nich będzie lepsze od tego, na którym pedzio siedzi teraz. Dudas był bardzo grzeczny i spokojny, dlatego tamten go posłuchał.

– W porządku, nie ma sprawy.

Blondyn wziął książkę pod pachę, chwycił kubek z herbatą, odszedł stół bilardowy i usiadł po przeciwnej stronie, tyłem do nich, po czym z ołówkiem w rękę wrócił do lektury. Dudas westchnął z ulgą i wrzucił żeton do otworu w stole bilardowym. Opanował się, nie zrobił obory. Załatwił sprawę polubownie i pokojowo, chociaż miał wielką ochotę po prostu przypierdolić w tę zakręconą łepetynkę. Liczył, że jego opanowanie zostanie docenione. Nie zwracając uwagi na protesty ziomek, ustawił trójkąt na suknie, poustawiał starannie bile i pokazał palcem Tasakowi.

– Zaczynasz. Teraz gramy o dwie paczki.

Był spokojny, tak przynajmniej mu się wydawało. Tasak jednak musiał dostrzec na jego twarzy napięcie, ponieważ najpierw otworzył usta w proteście, a potem je zamknął. Natarł czubek kija kredą i uderzył z rozmachem. Bile rozbiegły się po zielonym suknie jak przestraszone kury po trawniku. Wpadły aż dwie, obie

pełne. Tasak grał dalej, wbił jeszcze dwie, a potem z uśmiechem oddał kij Dudasowi. Ten przymierzył i wbił jedną, przy drugiej wpadła mu również biała. Uderzył za mocno. Coś było nie tak z jego opanowaniem. Ta sprawa wydała mu się ciągle niezłaćwiona. Po chwili zrozumiał dlaczego. Blondyn przesiadł się na drugi koniec stołu, ale dokładnie w takie samo miejsce jak poprzednio. Przy kolejnej przymiarce Dudas znowu zobaczył na końcu kija czuprynę kręconych włosów. I znowu spieprzył uderzenie. Nie, nie mógł tego tak zostawić.

– Sorry, gościu, ale chyba się nie zrozumieliśmy. Prosiłem, żebyś przesiadł się gdzieś dalej, o, na przykład tam. – Pochylny nad nim wskazał dłonią najciemniejszy kąt baru, w sam raz dla miłośnika herbaty i tortów z wiśniami. A najlepiej, żeby pedał w ogóle się stąd wyniósł i nie wkurwiał go gładką buzią.

Blondyn zmrużył oczy i nie przestając się uśmiechać, zapytał:

– Jesteś pewien, że jak się przesiądę, to sobie wreszcie trafisz?

Dudas zacisnął zęby.

– No.

– To po włosku?

– Że co?

– Nic.

Chłopak znowu zebrał swoje rzeczy i przesiadł się w ciemny kąt. Ale już nie przeglądał książki kucharskiej. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w niego, szczerząc zęby w martwym uśmiechu. W jakimś sensie było to jeszcze gorsze. Dudas dwa razy haniebnie spudłował, a następnie uderzył tak mocno, że oprócz swojej bili wbił również białą, na koniec zaś (jak pierdolona wisienka na torcie!) do dziury potoczyła się czarna. Zagotował się w środku. Rzucił kij na stół i ruszył do ciemnego kąta, roztrzając po drodze krzesła jak baloniki na nieudanym przyjęciu urodzinowym. Głos z głębi mózgu wołał, że ta nieruchoma, wyszczerzona gęba to niebezpieczeństwo, ale mężczyzna stracił zaufa-

nie do takich głosów. W jego żyłach buzowała potężna energia wściekłości, niebotycznego wkurwienia, na które żaden piskliwy głosik rozsądku nic nie poradzi. Nie czuł bólu ani złości, tylko ten przyjemny szum, jakby wypełniała go piana z piwa. Postać w półmroku nie zareagowała, żaden mięsień nawet nie drgnął na gładkiej twarzyczce. Ten kamienny bezruch tknął Dudasa złym przecuciem, ale było już za późno na odwrót. Gwałtowne natarcia mają to do siebie, że nie można się z nich wycofać, nawet kiedy już dostrzeżę się błęd.

– Spierdalaj stąd! – krzyknął nienaturalnie głośno. – Powiedziałem: spierdalaj!

Liczył na głupią uwagę, która dałaby mu pretekst. Ale tamten ani drgnął. Szcherzył się jak wredny klaun z okładki tego słynnego horroru.

– Spierdalaj albo zetrę ci ten uśmiezek z ryja!

Zrobił jeszcze jeden krok, spięty do granic wytrzymałości. Fala agresji podchodziła mu już do gardła, ostatnie słowa wybulgotał niemal niezrozumiale. Ale pedzio zrozumiał.

– Przypuszczalnie nie podejrzewam.

Wyciągnął rękę, żeby złapać gościa za koszulkę i wywlecz z stolika. Sytuacja nie była jednak zbyt wygodna, ponieważ tamten cały czas siedział nieruchomo, wciśnięty w kąt sali, do kąd Dudas sam go wysłał. Teraz miał problem, jak go stamtąd wyłuskać. Ręka zawisła bezradnie w powietrzu nad blatem z rozłożoną książką kucharską. Pieprzony torcik z pieprzonymi wiśniami.

– Masz problem – powiedział blondyn, czytając w jego myślach. – Nie dosięgniesz.

Napastnik charknął wściekle i rzucił się z ręką wyciągniętą prosto do smukłego pedalskiego gardła. Trafił w pustkę. Tamten zniknął, a Dudas runął całym ciałem na stolik, potracając kubek z herbatą, która jakimś cholernym trafem wylała mu się za de-

kolt. Kiedy się wyprostował i strzepnął koszulkę, ktoś postukał go palcem w plecy.

– Tu jestem – powiedział pogodnie blondyn i wskoczył za następny stolik. Znowu był poza zasięgiem.

– Zajebię cię – wycharczał Dudas i zacisnął pięści. Coś w nim pękło, nareszcie nie musiał udawać, nie musiał się starać. Był sobą – nabuzowanym ziomkiem, który lubi spuszczać wpierdół.

– Przypuszczalnie nie podejrzewam – powtórzył tamten dziwną formułkę. – Odnoszę wrażenie, że z trzech koniecznych warunków do spełnienia tej groźby brakuje ci co najmniej dwóch. Po pierwsze, w ogóle mnie jeszcze nie dorwałeś i zapewne nie dorwiesz. Po drugie, nawet jak już dorwiesz, możesz nie dać rady. Po trzecie, nikt jeszcze mnie nie...

– Chrr! – mężczyzna warknął i wskoczył na stół. Miał zamiar jednym kopnięciem zamknąć tę pedalską jadaczkę, ale zanim wziął zamach, facet znowu zniknął. Dudas stracił równowagę i poleciał na ścianę, odbił się od niej i odwrócił. Blondyn stał po drugiej stronie sali, pięć metrów od niego. Jak on to zrobił?

– Dudi, odpuść – doleciało go od bilardowego stolika. To był Tasak. – Chodź grać. Twój ruch.

Boją się, żebym znowu nie narobił bajzlu, pomyślał Dudas. Ale było za późno. Nie mógł tego tak zostawić. Barman coś krzyczał, a on przeskoczył na drugi stolik i odbił się, skacząc na kolejny. Teraz ten pedał mu się nie wywinie, nie ma gdzie uciekać. Nagle Dudas niebezpiecznie wychylił się do przodu i wyciągnął ręce, by się podeprzeć, ale i tak runął twarzą na trzeci blat. Zanim się pozbierał, usłyszał za plecami:

– Znowu pudło. Tu jestem.

Złapał za oparcie krzesła i wziął potężny zamach. Nie czuł bólu, niewiele widział, nie słyszał krzyku kolegów i barmana – całą swoją waleczną duszą pragnął przefasonować tę gładką uśmiechniętą gębę. Jeszcze biedak nie wiedział, że znalazł się

na końcu długiego szeregu ludzi jemu podobnych, którzy marzyli o tym samym. I żadnemu się nie udało. Krzesło zawisło w powietrzu, Tasak i Gleba z pomocą barmana obezwładnili go i teraz usiedli na nim we trzech. Dyszał z wściekłości, ale siły go opuszczały.

– Co ty, Dudas, odpierdalas! – wołał do niego Tasak. – Przecież to tylko gra!

Zamrugał. W ustach miał słony smak, to pewnie krew. Spojrzał w górę. Uśmiechnięta twarzyczka pochylała się nad nim.

– Słuchaj kolegów, Dudas. To tylko gra.

Mężczyzna szarpnął się. Przekręcił głowę i patrzył za odchodzącym blondynem, który przemierzając zdemolowaną salę, całym pedalsko kręcił kuprem w obcisłych dzinsach. Z książką kucharską pod pachą rzucił na kontuar banknot i wyszedł. Wsiadł do białego volva i odjechał. Jak jakiś cholerny Brad Pitt. Dudas usiadł. Ścierając uwolnionym przedramieniem krew z rozbitej wargi, poprzysiągł krwawą zemstę.

W ten sposób Rafał Dudek, pomorski osiłek zwany Dudasem, zawarł znajomość z Luckiem Bałysiem – podkomisarzem Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie, wysłanym na parę dni do Słupska w celu wygłoszenia w tamtejszej szkole policyjnej referatu o dopuszczalności interwencji w sytuacjach pozasłużbowych. Ta znajomość miała Dudasa kosztować życie.

Horror, czarny kryminał i sensacja historyczna w jednym.
Mieszanka wybuchowa.

Marek Bieńczyk

Seria śmiertelnych wypadków, których sprawcami są dzieci, układa się w tajemniczy wzór. Miasto nawiedza plaga szcurków. W kilku miejscach odbywają się gorączkowe poszukiwania zakopanego skarbu. Plotki o ukrytym złocie wzbudzają chorobliwą rywalizację. Wydaje się, jakby w to miejsce powróciły dawno uśpione demony...

Kiedy Wojtek, dociekliwy dziennikarz, rozpoczyna własne śledztwo, natyka się na mur milczenia. „Wszystko się łączy...”, szepcze matka Wojtka i nie chce powiedzieć nic więcej. W mieście rośnie zamęt i wzajemna agresja, których ponure przyczyny tkwią w wojennej przeszłości.

PATRONAT MEDIALNY



cena 39,90 zł

www.portalikryminalny.pl



POCISK
MAGAZYN LITERACKO-KRYMINALNY

lubimyczytać.pl

